

KŁAMSTWA,
KTÓRE NAM
WMAWIANO

ELLEN MARIE
WISEMAN

KŁAMSTWA,
KTÓRE NAM
WMAWIANO

PRZEŁOŻYŁ
PRZEMYSŁAW HEJMEJ



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Lies They Told

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Céline Chamiot-Poncet / Unsplash.com;

© Chadys; © Daniil / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © Anar / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

THE LIES THEY TOLD

Copyright © 2025 by Ellen Marie Wiseman

Copyright © 2026 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Przemysław Hejmej, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-690-0

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss

*Dla moich najmniejszych ukochanych skarbów,
Owena Benjamina i Eleny Catherine –
jesteście niezwykłym cudem i cennym skarbem*

Książka ta nie jest oparta na faktach.
Wszystkie zawarte w niej nazwiska, postacie, firmy,
organizacje, miejsca oraz wydarzenia są wytworem
wyobraźni autorki, a jakiegokolwiek podobieństwo do
prawdziwych osób, żywych bądź martwych, wydarzeń
oraz miejsc jest czysto przypadkowe.



Och, czemuż to takimi głupcami jesteście – wy, którzy rodzicie i wychowujecie naszych obywateli? Dlaczego bez końca pozwalacie się mnożyć słabeuszom oraz szaleńcom? Wszelakim przestępcom, kalekom, odmieńcom, utrzymańcom, niezdolnym do samodzielności, chorowitym i całej reszcie? Mnożąc rodzinę ludzką, jej najgorszych członków traktujemy tak samo jak najlepszych.

A tymczasem proszę, idźcie do dowolnego rolnika, zajrzyjcie do jego stodoły czy szop w gospodarstwie, spójrzcie na jego konie lub bydło: nawet świnie ów chłop woli mieć rasowe. A potem zwróćcie uwagę na piętno, jakie odcisnął na własnych dzieciach. Nisko sklepione czoła, małpie szczęki, goryle dłonie, tępotą, głupota – oto skutek praw Mendla.

Albo przyjrzyjcie się wsi, ogrodowym grządkom, kapuście, sałacie i rzepie.

Nawet buraki rosną tu pierwszej klasy. Dzieci tymczasem, przecież liczne, cechują małpie łapy. Na krzywych chadzają nogach, mają płaskogłowie, są durnowate – też zgodnie z prawem Mendla.

Prawo to jasno głosi, że wady rodzą wady, a choroba umysłowa karmi chorobę umysłową. Dlaczego pozwalamy, aby ci ludzie się rozmnażali, cofając nas

do małych przodków? Dlaczego nakładamy na nasz kraj coraz większe ciężary, skoro powinniśmy hodo-
wać tylko najlepszych? Wy, mądrzy ludzie, weźcie na
siebie to brzemie, uczynicie je swoim najgłośniejszym
credo: natychmiast wysterylizować odmieńców –
wszystkich, którzy nie nadają się do rozmnażania!

Wtedy nasza rasa się wzmocni i rozkwitnie, a nasi
mężczyźni i nasze kobiety staną się doskonali, nie zaś
podobni do małp, odrażający i tępi. Niechaj najlepsi
płodzą najlepszych.

– JOSEPH S. DEJARNETTE

Amerykański eugenik, dyrektor Western State Hospital

ROZDZIAŁ 1



Ellis Island, 31 maja 1928 roku

Na widok tego, co wyprawiają żołnierze, Magdalena Conti poczuła, że po szyi spływa jej gęsty pot zdenerwowania. Gdyby wiedziała, jakie niebezpieczeństwa czyhają na nią tutaj, po drugiej stronie Atlantyku, zaryzykowałaby i została w domu. A teraz tkwiła w potrzasku, pośród przejmujących krzyków przerażonych matek, dzieci, mężczyzn; otchłanne wnętrze budynku wypełniał płacz kobiet. Ostre dźwięki odbijały się od łukowatego sklepienia i przetaczały przez zamknięte na klucz bramy i żelazne kraty niczym burza. Jak gdyby to pandemonium przeżywane przez tysiące zdesperowanych ludzi tłoczących się na ogromnej, wrzącej przestrzeni samo w sobie nie było wystarczająco złe, w powietrzu unosił się niewidzialną mgłą odór potu oraz strachu. Słyszało się drapanie kufrów i walizek po drewnianej podłodze, szuranie wzbijających kurz stóp, a także szepty i krzyki w chyba stu różnych językach. Wszystko to potęgowało chaos w pełnym niepokoju umyśle Magdaleny.

Jak to możliwe, że zaledwie kilka godzin temu marzyła o zejściu ze statku, nie mogąc się doczekać, aby opuścić cuchnące

pomieszczenie dla pasażerów trzeciej klasy i postawić stopę na połyskliwych wybrzeżach Ameryki? Może plotki były prawdziwe – może Ellis Island słusznie nosiła nazwę wyspy łez? Może Amerykanie nadal zatrzymywali „wrogich cudzoziemców”, tak jak podczas Wielkiej Wojny, albo powrócili do wieszania piratów, przestępców... każdego, kogo uznali za zagrożenie? Być może wojsko odprowadzało imigrantów w ustronne miejsca, aby ich rozstrzelać? Teraz wszystko wydawało jej się możliwe.

Z przodu surowy żołnierz za wysokim kontuarem zadawał pytania podróżnym z klasy trzeciej, a potem kierował ich na dalsze badania. Inny odciągnął od młodego chłopaka wątłą kobietę z laską i dokądś ją zabrał. Jeszcze kolejny kazał jednorękiemu mężczyźnie oraz staruszce, z trudem łapiącej oddech, pójść ze sobą ciemnym korytarzem, w którym ostatecznie zniknęli. Dwóch mundurowych usunęło z kolejki całą rodzinę, ignorując gorączkowe błagania rodziców i zadawane nerwowo pytania. Zdarzało się, że jakiś żołdak wyrwał dziecko z ramion matki, po czym niósł je w inną stronę, niż wleczono jego rodziców. Ludzie ci wyciągali ku sobie ręce, krzycząc i rozpaczliwie walcząc, by ich nie rozdzielano. Ten sam los spotykał mężów i żony, którzy zupełnie zdezorientowani, próbowali się uwolnić z rąk żołnierzy. Przed zniknięciem imigrantów funkcjonariusze mieli częsty zwyczaj wypisywania białą kredą liter C, H, X, N, P, L, S na ich okryciach.

Nikt nie wiedział, co one oznaczają.

Nikt nie widział, dokąd i dlaczego zabierano mężczyzn, kobiety i dzieci.

Próbując zapanować nad paniką, Magdalena spojrzała na swoją dwuletnią córeczkę Ellę, którą przywiązała sobie do piersi czerwonym szalem. W ochronnym geście położyła dłoń na jej dzianinowej czapeczce. Ella, mała jak na swój wiek – częściowo z powodu niedożywienia, które pozbawiło jej matkę mleka zaraz

po porodzie – wpatrywała się w rodzicielkę zmęczonymi, niespokojnymi oczkami. Chuda twarzyczka świadczyła o ciągłym głodzie, jaki dziecko cierpiało w pierwszych, trudnych latach swojego życia. Magdalena spróbowała posłać córce krzepiący uśmiech, a potem, drżącym głosem, zaczęła nucić kołysankę. Gdyby żołnierze spróbowali zabrać jej Ellę, najpierw musieliby połamać Magdalenie ręce.

Wcześniej słyszała tragiczne historie, które docierały na drugą stronę oceanu – o pogrążonych w rozpacz matkach dzieci umierających na choroby zakaźne podczas kwarantanny na Ellis Island. O mężach i żonach, którzy w ten sam sposób tracili współmałżonków. Słyszała o ojcach, którym udawało się w końcu zaoszczędzić odpowiednią sumę pieniędzy, aby sprowadzić swoje rodziny do Ameryki – tylko po to, żeby po drodze ich dzieci zginęły. Oplakiwali oni noworodki nigdy niewidziane na oczy. Nie przyszło jej jednak do głowy, że można ludzi rozdzielać celowo, wyrwać niemowlęta z ramion ich matek.

Najwyraźniej popełniła straszny błąd.

Ale czy miała inny wybór?

Kraj, który kochała jako dziewczynka, już nie istniał. Niemcy nie podniosły się jeszcze ze skutków wojennej zawieruchy, zginęło wielu zgłaszających się do wojska mężczyzn, mnóstwo cywiliów głodowało, ziemię splądrowano. Ci, którzy przeżyli, zostali bez pracy, zdani na pastwę losu, głodni i zgorzkniali, a gospodarka wciąż cierpiała z powodu niekontrolowanej inflacji. Przez lata Magdalenie i jej rodzinie musiało wystarczyć pół kubka mleka na cały dzień, większość ich posiłków składała się z ziemniaków oraz rzepy. Próbowwała namówić matkę, aby przeprowadzili się z miasta na wieś, gdzie mogliby uprawiać ogródek i hodować kurczaki, ale nie mieli środków na kupno domu czy ziemi. Poza tym Mutti nie miała zielonego pojęcia ani o uprawie roślin, ani o zajmowaniu się drobiem.

W Ameryce możliwości były nieograniczone, człowiek z łatwością stawał się z pucybuta milionerem. Właśnie dlatego weszła na statek. Bo zrobiłaby wszystko, byle jej córeczka nie musiała już chodzić głodna. Nigdy jednak nie brała pod uwagę tej okropnej ewentualności rozdzielenia z Ellą. Teraz strach wymazywał z niej wszystkie inne uczucia i obawy.

Wraz z każdą mijającą minutą temperatura wewnątrz budynku zdawała się rosnąć. Magdalena odnosiła wrażenie, że jest w piekarniku, bolały ją nogi, zwłaszcza stopy, Ella ciążyła coraz bardziej. Starając się nie wpaść w zadyszkę, wzięła pod ramię brata i wsparła się na nim. Chciała pamiętać, że nie jest tu sama.

Enzo spojrział na nią ze słabym uśmiechem; jego piwne oczy błyszczały zmęczeniem i strachem. Mimo ciągłego głodu, od którego skręcał mu się żołądek – jak wszystkich innych zresztą, tak często, że przestali liczyć – w wieku czternastu lat chłopak przerósł siostrę i matkę, a jego stoicki spokój, jego cicha obecność sprawiały, że Magdalena czuła się bezpieczna. Nawet teraz, trzymając na jednym ramieniu drewniany kufer, stał prosto jak drzewo, jak gdyby podniszczona skrzynia pełna ich skromnego dobytku nic nie ważyła.

Kiedyś również przy Mutti Magdalena czuła się chroniona, ale w ostatnich trzech latach po śmierci ojca na tyfus matka bardzo się postarzała. Garbiła się pod ciężarem swojego brzemia. Dziewczyna nie chciała się do tego dokładać, szukając u niej pociechy, zwłaszcza po tym, jak naraziła ją na wstyd: oto okazało się, że jej siedemnastoletnia, niezamężna córka była w ciąży. Och, jakże sąsiedzi plotkowali za ich plecami, gdy długo czekały na zgodę na wyjazd do Ameryki! I jakże głupia była Magdalena, uwierzywszy obietnicom brytyjskiego oficera, że zabierze ją ze sobą do domu, przedstawi rodzinie, a potem się z nią ożeni. Powiedział nawet, że po ślubie Magdalena będzie mogła wysyłać Mutti pieniądze.

Że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, powinna była wiedzieć już w chwili, gdy Jonathan Dankworth ruszył jej z pomocą. Koło jej ręcznego wózka oderwało się nagle na wiejskim placyku, poturlało po kocich łbach i wylądowało obok jego buta. Obawiała się, że zostanie zbesztana, ale w przeciwieństwie do innych brytyjskich żołnierzy, którzy wciąż traktowali Niemców jak wrogów, ten uprzejmie zaoferował wsparcie. Sprawiał wrażenie autentycznie zatroskanego. Tak przynajmniej myślała. Kiedy nie udało mu się naprawić kółka, zaczął nalegać, żeby zanieść wózek – wraz z ładunkiem robótek krawieckich – z powrotem do jej mieszkania, mimo że znajdowało się ono aż dwadzieścia przecznic dalej. Zanim dotarli do budynku, zdołał ją oczarować i namówić na wieczorną schadzkę nad rzeką; miał czekać na Magdalenę na ławce w parku, z winem, importowanym serem oraz brytyjskimi herbatnikami. Przyjęła zaproszenie, bo na wzmiankę o serze i ciastkach zaburczało jej w żołądku, a smaku wina w ogóle nie знаła, gdy jednak przesiedzieli w blasku księżyca nad wodą cztery godziny, jego swobodny uśmiech, inteligencja, traktowanie jej jak równej sobie, a także srebrzystoniebieskie oczy i wyraźnie zarysowana zuchwa ostatecznie ujęły ją za serce. Trzy miesiące później wyznawał jej miłość, zapewniał jej rodzinie dodatkowe zapasy żywnościowe, obiecywał wyrwać Magdalenę z niszczącej biedy powojennych Niemiec. Nim zdała sobie sprawę, że spodziewa się jego potomka, oficer zniknął – wrócił do żony i dzieci, jak twierdzili jego towarzysze.

Potrzebowała wielu tygodni, aby ból serca zmienił się w gniew, a potem we wdzięczność, że nie musi mieć do czynienia z mężczyzną, który okazał się kłamcą i oszustem. Przynajmniej poduczył ją angielskiego w stopniu większym niż podczas ośmioletniej edukacji w szkole. I oczywiście czuła wdzięczność za Elle, jej główny powód do życia. Pomagała też świadomość, że to przede

wszystkim on poniósł stratę: nigdy nie zobaczy dołeczków na buzi swojej córki, nie zakocha się w jej maleńkich paluszkach. Nigdy nie usłyszy jej śmiechu, nie będzie mieć żadnych związanych z nią wspomnień. Cała cudowna radość z bycia rodzicem Elli należała wyłącznie do Magdaleny, a tego on nie był w stanie jej odebrać.

Spojrzała na szarą, bladą twarz Mutti. Strach w kasztanowych oczach matki sprawił, że już i tak wyczerpane nogi Magdaleny zadrzały. Po raz pierwszy od dwóch tygodni, to znaczy od wyjazdu z domu, Mutti wyglądała na więcej niż zmęczoną i chorą. Sprawiała wrażenie przerażonej.

– Dobrze się czujesz, Mutti? – spytała Magdalena.

– Nic mi nie jest, Leno – odrzekła kobieta, używając zdrobnienia, które przypomniało córce i wnuczce, że nie są same. – *Bitte*, nie frasuj się o mnie. – Położyła kochającą dłoń na główce dziecka. – Po prostu mocno trzymaj *kleine Engel*, naszego aniołka.

Lena skinęła głową, broda jej dygotała. Ochrona dziecka była rzeczą najważniejszą na świecie, ale o Mutti też się martwiła. Czekali już od wielu godzin, najpierw na statku, potem na barkach, obecnie w ogonku. Owszem, zbliżała się ich kolej, lecz teraz, na widok tego całego zamieszania, Mutti z każdą minutą miała się gorzej. Na pokładzie okrętu dopadła ją choroba morska, mogła tylko spać i czasem wypić kilka łyków chłodnej wody; do siebie doszła dopiero przed zacumowaniem w Nowym Jorku. Lena i Enzo też chorowali, zwłaszcza w trakcie dwudniowego sztormu, który rzucał statkiem jak zabawką – konstrukcja kołysała się i trzeszczała. Ich stan był jednak o wiele lepszy niż stan Mutti, która w krytycznym momencie nie mogła nawet unieść głowy.

Lena ocierała pot z twarzy matki, podtrzymywała ją, kiedy ta wymiotowała, i czuła nieustanny strach, że Mutti umrze – czego w ogóle nie brała pod uwagę, kiedy wypływali. Jednakże po

śmierci starszego mężczyzny, pasażera tego samego przedziału, jej umysł zatrzała owa przerażająca myśl. W pewnym momencie pogoda stała się tak fatalna, że drzwi do najtańszej klasy zamknięto i zablokowano, by pasażerowie nie wychodzili na pokład, gdzie groziło im zmycie do morza. Wtedy Lena nabrała pewności, że niebawem wszyscy zginą. Na szczęście sztorm ucichł, a Ella miała się dobrze, nie licząc zwykłego niepokoju oraz głodu. Znowu.

Lena omiatała teraz wzrokiem znużonych, pełnych strachu współpasażerów stojących w innych kolejkach – nieogoleni mężczyźni trzymali na głowach bądź ramionach kufry, kobiety miały na sobie haftowane spódnice i chusty, tuliły małe dzieci. Wiele z nich szeptało rozpaczliwe modlitwy, wszystkie twarze wychudły z głodu. Ogrom bezradnych, ale pełnych nadziei osób, stłoczonych i niespokojnych, w ubraniach cuchnących przedziałem trzeciej klasy i chorobą morską. Kto wie, co przeszli, zanim w ogóle wsiedli na ten statek – co im odebrano, jakie zniesli okrucieństwa lub inne trudy życiowe, nim zdecydowali się na podróż do Stanów Zjednoczonych. Teraz na dodatek musieli się obawiać rozłąki z najbliższymi. Jakby to wszystko już i tak nie było wystarczająco trudne i zagmatwane, z jakiegoś irytującego powodu pasażerom pierwszej i drugiej klasy pozwolono zejść na ląd bezpośrednio na Manhattanie, a ci z klasy trzeciej zostali załadowani na barki i odesłani do stacji inspekcyjnej na Ellis Island. Tam ustawiono ich w szeregu i oceniano niczym bydło.

Lena chciała się odwrócić i znów patrzeć przed siebie, ale nie zdążyła: złapał ją udręczony wzrok ciężarnej w innej kolejce. Kobieta przytulała do piersi malca o kręconych włosach, owiniętego podartym szarym szalikiem. W płonących gorączkowo przekrwionych oczach tamtej odbijało się wszystko, co czuła sama Lena, nadzieja i niepohamowany strach, każde marzenie,

każdy koszmar. Zlustrowała otaczających młodą kobietę ludzi w poszukiwaniu członków jej rodziny, męża albo matki, ale nikogo takiego nie znalazła. Być może samotna dziewczyna знаła kogoś w Ameryce, spotka się z nim, a ten ktoś zaopiekuje się nią i jej dziećmi. Lena przypomniła sobie nagle o oszustach, przed którymi ją ostrzegano – polowali na samotne imigrantki, oferując im pokój w pensjonacie oraz zatrudnienie w „dobrych chrześcijańskich domach”, podczas gdy w rzeczywistości kończyły jako harujące niewolnice, gorzej nawet – zmuszano je do sprzedawania się za pieniądze. Lenę ogarnął przymus zaproszenia młodej matki, aby przyłączyła się do niej i do jej rodziny. Lecz tamta spojrzała na Ellę zmrużonymi oczami i Lena odwróciła wzrok, raptem przestraszona, że obca kobieta domyśli się jej niezamężnego stanu... a także tego, że przybyła do Ameryki w ukrytych zamiarach.

Było to oczywiście absurdalne. Nikt nie mógł przecież wiedzieć, że człowiek, który zgodził się zatrudnić Mutti i Enza, nie miał pojęcia o przyjeździe także Leny i Elli. Nikt na świecie nie znał prawdy. Czuła lekki ciężar skórzanej sakiewki zawieszanej na rzemyku wokół szyi, ukrytej pod jej wiejską sukienką, dwiema bluzkami, swetrem z dzianiny oraz wełnianym płaszczem, które nosiła od czasu wypłynięcia z Bremerhaven. Mutti miała pod ubraniem podobną torebkę, woreczek wielkości pieroga, w którym znajdowała się druga połowa skromnej sumy pieniędzy uzyskanych po sprzedaży wszystkiego, co posiadali – żeby kupić bilet dla Leny. Radzono im bowiem zabrać dość gotówki w celu udowodnienia, że nie skończą jako uliczni żebracy. Lena nie miała pojęcia, czy kilkadziesiąt *Rentenmark* rzeczywiście wystarczy – nowa niemiecka waluta była w obiegu dopiero od kilku lat. Wcześniej posługiwano się *Papiermark*; dwa miliardy ledwo starczały na bochenek chleba, ludzie palili w piecach starymi

banknotami, aby się ogrzać. Nikt nie wiedział, jaką wartość przedstawiała obecnie nowa marka w Stanach Zjednoczonych. Oby to, co trzymali w sakiewkach, okazało się satysfakcjonujące, ponieważ nie posiadali nic poza ubraniem na sobie, bagażami, paroma garnkami i patelniami, koszykiem do robótek ręcznych Mutti, ręcznie szytą kołdrą oraz kilkoma osobistymi pamiątkami. Spoczywały one w starym drewnianym kufrze.

Nagle kolejka ruszyła, wyrrywając Magdalenę z zamyślenia. Wkrótce mieli stanąć przed surowym żołnierzem za kontuarem. Teraz podchodziła do niego jakaś para z małą dziewczynką. Żołnierz zerknął na dziecko i gestem wezwał innego funkcjonariusza. Matka chwyciła córeczkę za barki, gorączkowo potrząsając głową.

– *No, per favore!* – krzyknęła i zrobiła krok w tył. – *No!*

Jej mąż zbliżył się do żołnierza z rozciągniętymi ramionami, gotów bronić swojej rodziny.

– *Il bambino resta con noi* – oświadczył twardo.

– *Il bambino e malato* – odpowiedział tamten, potykając się na włoskich wyrazach. – *Ha bisogno di cure mediche. Capisci?* – I dodał po angielsku: – Ona jest chora. Ma odrę. Wyleczymy ją w szpitalu, ale musicie zapłacić za opiekę. Inaczej odeślemy ją do kraju. Rozumiesz?

Twarz mężczyzny wykrzywiła się z bólu, skinął głową. Odwrócił się do żony, coś do niej powiedział, a potem się wycofał. Kobieta przyklękła ze łzami w oczach, pogłaskała dziewczynkę po policzku i szepnęła jej do ucha. Dziecko krzyknęło, zarzucając matce rączki na szyję; przytulała je przez chwilę, następnie wstała i zaprowadziła małą do drugiego funkcjonariusza. Żołnierz złapał dziecko za nadgarstek i zaczął odciągać. Dziewczynka, próbując się wyrwać, wrzeszczała:

– *Voglio andare con mia mamma!*